



„Christianitas”: *Skąd wziął się ojciec Mark Daniel Kirby?*

o. Mark Daniel Kirby: Mój ojciec był z pochodzenia Irlandczykiem, a moja matka Włoszką. Jestem wnukiem imigrantów mieszkających w Stanach Zjednoczonych. W związku z tym, że rodzina przybyła do Ameryki dość niedawno, moja pierwotna tożsamość jest tożsamością bardziej europejską niż amerykańską. Potrzeba wielu pokoleń, żeby w pełni utożsamić się z nowym krajem. Od najwcześniejsze-

Dura et aspera

*Rozmowa
z Dom Markiem Kirbym OSB,
przeorem benedyktyńskim
w Silverstream Priory w Irlandii*

go dzieciństwa to, kim jestem, budowali starzy emigranci z pokolenia moich dziadków. Słuchałem ich opowieści i zadawałem pytania o to, jak było w starym kraju. Tak przekazywali mi swoją kulturę, język i wiarę. Zawsze czułem, że moje serce należy bardziej do krajów, z których przyjechali moi przodkowie, niż do Stanów Zjednoczonych.

„Ch”: *Bardziej do Irlandii czy do Włoch?*

o. M.D.K.: Rodzice pobrali się w 1948 roku. W małżeństwie, w którym spotykają się dwie kultury, dominuje kultura żony i matki, ponieważ to matka jest w kuchni, a kuchnia jest sercem domu. Kultura jest przekazywana przez jedzenie. Dlatego w młodości przez wiele lat utożsamiałem się z włoską częścią mojej rodziny. Chciałem cały czas mówić po włosku i robić włoskie rzeczy.

Później, gdy dojrzałem, zacząłem utożsamiać się w większym stopniu z dziedzictwem irlandzkim. Przyczyną była wiara katolicka. Dostrzegłem wiarę mojego ojca, który był i jest człowiekiem modlitwy. Dziś ma 87 lat i nadal chodzi codziennie

na Mszę świętą. Im dłużej żyłem, tym lepiej widziałem, jak wiele odziedziczyłem po swoim ojcu. Osobowość, podejście do życia i właśnie wiarę.

Jeszcze później, gdy dowiedziałem się o prześladowaniach, jakim poddani byli irlandzcy katolicy, zacząłem odczuwać współczucie dla Kościoła katolickiego w Irlandii. Wtedy narodziło się we mnie pragnienie, żeby któregoś dnia przybyć tutaj jako człowiek modlitwy. Nie po to, żeby robić coś szczególnego, na przykład prowadzić szkołę, ale aby żyć w zamknięciu, trwać przy tabernakulum i po prostu się modlić.

T.: *Jest Ojciec częścią pokolenia powojennego wyżu demograficznego określanego jako baby boom. Czy ma Ojciec rodzeństwo?*

o. M.D.K.: Było nas pięcioro. Jestem najstarszy z rodzeństwa. Urodziłem się w 1952 roku. To było właśnie to powojenne pokolenie, które wchodziło w dorosłość w okresie ruchu praw obywatelskich i wojny w Wietnamie. Rok 1968 był rokiem rewolucji seksualnej i encykliki *Humanae Vitae*. Dokładnie pamiętam dzień, w którym ten dokument został wydany. Uczestniczyłem wtedy jako młody chłopak w wakacyjnym programie pomocy dzieciom niepełnosprawnym. Razem ze mną było tam wielu młodych księży, seminarzystów i sióstr. Pamiętam bardzo dobrze, że kiedy nadeszła wiadomość, że Paweł VI opublikował encyklikę, pierwszą reakcją było jej odrzucenie.

„Ch”: *Jak narodziło się Ojca powołanie monastyczne?*

o. M.D.K.: Zawsze wiedziałem, że moje powołanie jest powołaniem do modlitwy. Nie myślałem o tym w kategoriach bycia kapłanem czy wstąpienia do seminarium. Bóg mnie przyciągał do siebie.

Gdy byłem małym chłopcem, dzieliłem pokój z bratem. Między moim łóżkiem a ścianą była wąska przestrzeń. Gdy zostawałem sam w pokoju, chowałem się w to miejsce i otwierałem Nowy Testament, który otrzymałem od ojca i który cały czas posiadam. Czytałem Ewangelię i Listy św. Pawła i wiedziałem, że Bóg trafia do mojego serca przez kontakt z Jego Słowem. Nie wiedziałem wtedy niczego o *Lectio Divina*.

Miałem 11 lub 12 lat, gdy ojciec kupił mi na moją prośbę brewiarz po angielsku wydany przez Wydawnictwo Collegeville. Był to skrócony brewiarz z komentarzami ojca Piusa Parscha, który zrobił bardzo wiele dla popularyzacji psalmów i Służby Bożej. Nosiłem ten brewiarz wszędzie ze sobą. Pamiętam, jak kiedyś byłem na wycieczce nad morzem, siedziałem na brzegu, obserwując fale, i odmawiałem brewiarz. Doświadczałem bardzo mocno, że jest to modlitwa Chrystusa do Ojca.

Do tego dochodziła miłość do chorału gregoriańskiego. W tym samym czasie, w którym dostałem swój pierwszy brewiarz, do szkół przyjeżdżała siostra od-

powiedziana za muzykę w mojej diecezji. W każdej szkole dawała lekcje chorału. W mojej klasie tematem lekcji był hymn z Nieszporów Adwentu *Conditio alme siderum*. Pamiętam swój ówczesny zachwyt. Uważałem, że jest to coś najpiękniejszego, co można sobie wyobrazić, co można śpiewać i czego można słuchać, że jest to muzyka niepodobna do żadnej innej.

Na moje powołanie złożyły się: miłość do chorału, do brewiarza, do psalmów, do lektury Pisma Świętego, do ciszy i do samotności.

„Ch”: *Kiedy pierwszy raz zetknął się Ojciec z prawdziwym życiem monastycznym?*

o. M.D.K.: Trzeba zdać sobie sprawę, że zacząłem rozpoznawać moje powołanie monastyczne w roku 1966. Był to okres wielkiego zamieszania w Kościele. To nie był dobry czas na realizację powołania.

Pierwszym miejscem, do którego trafiłem, było opactwo trapistów w Massachusetts. Bardzo spodobało mi się to, co tam zobaczyłem. Chciałem tam wstąpić w wieku 16 lat. Jednak jeden z mnichów doradził opatowi, żeby wstrzymać się z moim przyjęciem ze względu na młody wiek. Byłem wtedy bardzo nieszczęśliwy z tego powodu, ale teraz myślę, że było to bardzo mądre. Widzę też Bożą rękę w tym, że nie wstąpiłem wtedy do klasztoru, bo był to bardzo trudny dla Kościoła okres bezpośrednio po Soborze Watykańskim II. Wtedy miało miejsce bardzo wiele ekspe-

rymentów teologicznych, duchowych i liturgicznych. Ja pragnąłem czystego tradycyjnego życia benedyktyńskiego. Byłem przekonany, że to byłoby dla mnie dobre.

W tamtych czasach nie było łatwo wstąpić do klasztoru. Poznałem wtedy wielu podobnych mi mężczyzn wędrujących od jednego klasztoru do drugiego w poszukiwaniu konsekwentnego podejścia do powołania monastycznego. Można było trafić do jednego klasztoru i słuchać o buddyzmie zen, w drugim spotykać ludzi zafascynowanych tradycją wschodnią i hezychazmem, w kolejnym zielonoświątkowych charyzmatyków. Były klasztory, w których przeżywano fascynację tymi czy innymi prywatnymi objawieniami, i takie, w których były gitary i niedojrzali dorośli mężczyźni naśladowujący kulturę młodzieżową.

Na to wszystko (a mówię o latach 1966-1968) nakładała się rewolucja seksualna i całkowity chaos w nauczaniu moralnym. Dotykało to także kierownictwa duchowego i spowiedzi. W konfesjonale można było usłyszeć dowolną naukę. Trudno było dotrzeć do piękna, dobra i prawdy nauczania Kościoła. To były mroczne czasy, a ja bardzo tego doświadczałem.

Po raz pierwszy doświadczyłem życia monastycznego w jednej ze wspólnot klauzurowych o ścisłej regule z dobrą tradycją chorału, tradycyjnym oficjum, opartej na nauce solidnych autorów, takich jak Dom Guéranger, Dom Delatte i Dom Marmion.

Byłem młody, ale chorowity. Próba sprośtania wymaganiom zakończyła się załamaniem. Nie było to udane doświadczenie. W tym samym czasie również w tej wspólnocie pojawiły się głosy, że jedno należy zmienić, drugie trzeba zmienić, to jest dobre, to jest niedobre, to przyjmujemy, a to odrzucamy. W tamtych czasach nie dało się wstąpić do wspólnoty żyjącej w pokoju. Nie było opactw, w których panowałaby po prostu *Pax Benedictina*.

Później próbowaliśmy z przyjacielem prywatnie prowadzić proste życie benedyktyńskie. Pewnego dnia odwiedził nas opat cystersów i zaprosił do swojego opactwa. Zapewnił, że będziemy mogli żyć tam tak, jak tego pragnęliśmy. Tak trafiliśmy do klasztoru w Kanadzie, który też nie był wolny od posoborowego chaosu. Tam złożyłem swoje śluby i zostałem wyświęcony na kapłana w 1986 roku.

Niestety był to klasztor, który całkowicie porzucił chorał gregoriański. Opat powiedział, że może będziemy mogli przywracać go po trochu. Próbowałem to robić, jednak wszystko to działo się pod warunkiem, że będę komponować muzykę do oficjum w języku francuskim, w tym widziano przyszłość.

Komponowałem muzykę. Brałem udział w konferencjach poświęconych liturgii. Podróżowałem do Francji i do Belgii. Prowadziłem rekolekcje. Byłem później mistrzem nowicjatu, mistrzem chóru i przeorem. Wziąłem na siebie wiele obo-

wiązków i w pewnym momencie znów zacząłem chorować. Stało się to wkrótce po śmierci Jana Pawła II. Trafiłem do szpitala. Okazało się, że od wielu lat jestem chory na włóknienie płuc.

Rok 2005 był dla mnie rokiem wielkiej łaski. Zacząłem modlić się do Jana Pawła II. Mówiłem do niego: „Ojczy Świty, Janie Pawle, bądź ojcem dla mojej duszy. Prowadź mnie, ucz mnie, chroń mnie. Zdobądź dla mnie dar doskonałej czystości, gorącą miłość do Najświętszego Sakramentu i pragnienie uczynienia czegoś dla uświęcenia kapłanów”.

Miałem powracający sen, w którym wchodziłem przez małe drzwi do Pałacu Apostolskiego w Rzymie i przemierzając wysokie schody, traślałem prosto do gabinetu Papieża Jana Pawła II, gdzie spotykałem go siedzącego przy biurku. Klękałem przed nim i spowiadałem się, a on udzielał mi rozgrzeszenia i błogosławił mnie. Potem wychodziłem.

Ten sen powracał wiele razy i zawsze budziłem się z uczuciem wielkiego pokoju, tak jakbym faktycznie spowiadał się u Jana Pawła II i otrzymywał jego błogosławieństwo. Miałem poczucie silnej łączności z Janem Pawłem II.

Śmierć Jana Pawła II była dla mnie bardzo poruszająca, ale wybór Benedykta XVI to już wielka radość. Kardynał Ratzinger już wcześniej był dla mnie jasnym światłem w ciemności i Doktorem Kościoła.

„Ch”: *Czy to wtedy pojawiła się myśl, która doprowadziła Ojca do Silverstream?*

o. M.D.K.: Wszystko to działo się w kwietniu, a w czerwcu, w Uroczystość Bożego Ciała, spędziłem cały dzień, od Mszy świętej do Nieszporów, modląc się przed Najświętszym Sakramentem. Usłyszałem wtedy w moim sercu, jeśli można tak powiedzieć, wezwanie do życia benedyktyńskiego, ale połączonego właśnie z adoracją eucharystyczną, a w szczególności w koncentracji na tym, co Papież w encyklice *Ecclesia de Eucharistia* określił jako eucharystyczne oblicze Chrystusa. Temat oblicza można powiązać z bliską Janowi Pawłowi II filozofią personalistyczną i tym, że po twarzy rozpoznajemy kogoś jako osobę.

Dostrzegłem, że Najświętszy Sakrament to Chrystus szukający osobistej relacji ze mną nie tylko twarzą w twarz, ale także sercem w serce. To było tak, jakby Pan przyszedł do mnie i poprosił, żebym dał mu resztę swojego życia w adoracji i prześlągnięciu, a szczególnie w modlitwie o uświęcenie kapłanów. Tak wyglądał początek mojego powołania w powołaniu.

Poprosiłem Naszego Pana o znak. Napisałem artykuł o Przebitym Sercu Jezusa w teologii Josepha Ratzingera. Ktoś, kto go przeczytał, poradził mi, żebym wysłał go do „L'Osservatore Romano”. Postanowiłem tak zrobić i potraktować ewentualną publikację jako znak, że mam podjąć to nowe powołanie w powołaniu – nie tylko jako mnich, ale właśnie jako ado-

rator eucharystyczny oblicza Chrystusa. Ku mojemu zaskoczeniu artykuł został opublikowany i przetłumaczony na wiele języków. To utwierdziło mnie w moim powołaniu.

„Ch”: *Wróćmy do początków Ojca powołania: jakie książki i jacy autorzy byli dla Ojca najważniejsi, kiedy uczył się Ojciec o tym, czym jest monastycyzm?*

o. M.D.K.: Najważniejsza była książka bł. Kolumby Marmiona *Chrystus ideałem zakonnika*. Gdy miałem 15 lat, odbywałem rekolekcje w klasztorze w celu rozoznania powołania. Ojciec Marius Granato OCSO dał mi tę książkę, mówiąc, że powinienem ją przeczytać. Całkowicie mnie pochłonęła. Była dla mnie prawdziwym oświeceniem. Chłonałem każdą stronę. Miała na mnie wielki wpływ. Gdy czytam książki takie jak ta, czuję, że wchodzę w relację z autorem. Tak było z opatem Marmionem.

Potem przeczytałem kolejne książki tego autora *Chrystus życiem duszy*, *Chrystus w swoich tajemnicach*, a następnie wszystkie inne pisma bł. Kolumby. Oczywiście wtedy nie był jeszcze beatyfikowany. Zawsze pociągało mnie, że był Irlandczykiem, że właśnie z Irlandii pochodził ten wielki benedyktyn, który tak przemawiał do mojego serca.

Kolejnym ważnym tekstem był *Żywot Antoniego* autorstwa św. Atanazego. Miał na mnie ogromny wpływ. Św. Antoni jest

patriarchą wszystkich mnichów Wschodu i Zachodu.

Od dzieciństwa pozostawałem też pod wpływem *Roku liturgicznego* ojca Piusa Parscha.

Spośród pism innych świętych duże wrażenie zrobiła na mnie św. Gertruda Wielka, która mimo że nie jest oficjalnie ogłoszona Doktorem Kościoła, zawsze była przeze mnie uważana za doktora mistycznego życia liturgicznego.

Oczywiście nie można pominąć tutaj Pisma Świętego, do którego niezmiennie miałem wielką miłość. Kiedy czytam Biblię, zawsze klękam. Nigdy nie czytam Pisma Świętego na siedząco, bo jest to dla mnie jak otwarcie tabernakulum. Spodziewam się spotkać Boga w Piśmie Świętym, a On nigdy mnie nie zawodzi. Zawsze stawia się na spotkaniu. *Lectio Divina* stanowi wielką część mojego życia.

To właśnie podczas *Lectio Divina* w 2005 roku usłyszałem wezwanie do mojego obecnego życia adoracji i wynagrodzenia. Szczególnie za tych kapłanów, którzy do tabernakulum zbliżają się tylko wtedy, kiedy muszą je otworzyć, żeby wyjąć lub schować Pana Jezusa, ale nigdy nie przychodzą, żeby po prostu spędzić z Nim czas.

„Ch”: *Jak rozpoczął Ojciec to nowe życie?*

o. M.D.K.: Zacząłem zastanawiać się, jak i gdzie powinienem zrealizować to, do cze-

go czułem się powołany – by być nie tylko mnichem, ale także adoratorem. Mój ówczesny opat powiedział mi, że jeśli mam iść tą drogą, otworzą się dla mnie jakieś drzwi. Wkrótce otrzymałem zaproszenie do poprowadzenia rekolekcji w Tulsie w Oklahomie. Poczulem się pociągnięty na koniec świata. Wiedziałem tylko tyle, że to jest na północ od Teksasu. Nic więcej.

Pojechałem do Tulsy prowadzić rekolekcje i spotkałem się z tamtejszym biskupem. Był wobec mnie bardzo gościnnie i kiedy usłyszał o moich planach, spytał, czy nie chcę przyjechać do jego diecezji i właśnie tam prowadzić życia monastycznego z adoracją eucharystyczną. Opowiedziałem o tym mojemu opatowi, a on uznał, że to jest znak, na który czekaliśmy, i że mam jego błogosławieństwo do dalszych działań.

Napisałem do Rzymu i poprosiłem o zwolnienie ze ślubów, jakie złożyłem w zakonie cysterskim, w celu poświęcenia mojego życia na życie adoracją eucharystyczną pod rządami Reguły św. Benedykta. Zgoda przyszła już po dwóch tygodniach, co jest rzadkością, gdy prosi się o coś w Rzymie.

Zwolniłem się z klasztoru cysterskiego. Następnego dnia, 2 kwietnia 2009 roku, ponownie złożyłem swoje śluby zgodnie z Regułą św. Benedykta w obecności biskupa Edwarda Slattery’ego z Tulsy, opata Philipa Andersona z Clear Creek i byłego opata prymasa Konfederacji Benedyktyń-

skiej Marcela Rooneya. Na początku zamieszkałem w małym domku w centrum miasta.

„Ch”: *Czyli zaczął Ojciec sam?*

o. M.D.K.: Sam z Najświętszym Sakramentem. Wkrótce zaczęli się pojawiać inni, ale domek był bardzo mały. Ci, którzy przybywali, podejrzewając, że mają powołanie zakonne, nie mieli łatwo. Wstąpienie do klasztoru, który dopiero rozpoczyna działalność, nie jest proste. Brakuje w nim piękna, które ma istniejący przez wiele lat klasztor z majestatycznymi krużgankami i wypełniony dziełami sztuki sakralnej.

Potem przenieśliśmy się do nieco większego domu i rozpocząłem poszukiwania docelowej lokalizacji klasztoru. Nie mogłem znaleźć niczego właściwego. Cokolwiek znajdowałem, okazywało się nieodpowiednie na klasztor. Trzeba pamiętać, że nie dysponowałem żadnymi środkami finansowymi.

Zostałem zaproszony do Rzymu, aby mówić o adoracji eucharystycznej na kongresie międzynarodowym. Tam spotkałem Irlandczyków, którzy dowiedziawszy się o moim szczególnym benedyktyńsko-eucharystycznym powołaniu, poradzili mi, abym przybył do Irlandii.

Wróciłem do Oklahomy. Na miejscu okazało się, że nasze dalsze mieszkanie w dotychczas zajmowanym domu stało się utrudnione. Musieliśmy jak najszybciej

znaleźć nowe miejsce. Cały czas wracałem myślami do Irlandii.

„Ch”: *Jak znalazł Ojciec nowe miejsce?*

o. M.D.K.: Napisałem kilka listów do irlandzkich przyjaciół, prosząc o informację, gdyby słyszeli o jakimś dobrym miejscu. Szybko dostałem odpowiedź od pewnego księdza, który powiadomił mnie o zamykającym się klasztorze siostr wizytek w hrabstwie Meath, który powinienem zobaczyć. Poprosiłem biskupa Slattery’ego o zgodę na poszukiwanie nowego miejsca poza diecezją. Spytał się, gdzie chcę go szukać, i gdy dowiedział się, że chodzi o Irlandię, wyraził zgodę. Powiedział, że Kościół w Ameryce został zbudowany przez irlandzkich księży i zakonników i należy oddać Irlandii ten dług. Jechałem do Irlandii z jego błogosławieństwem.

Budynki były w strasznym stanie. Nie było w nich niczego pięknego. Nie przypominały ani z zewnątrz, ani wewnątrz tego, co kojarzymy z klasztorem, krużganków czy wirydarza. Miałem jednak przecucie, że powinienem tu się przenieść. Odwiedziłem miejscowego biskupa, który przywitał mnie bardzo serdecznie i zaprosił do swojej diecezji. Potem wróciłem do Tulsy, do biskupa Slattery’ego, który także wyraził zgodę.

„Ch”: *Ilu Was wtedy było?*

o. M.D.K.: Było nas trzech, ale do Irlandii przenieśliśmy się we dwóch: Dom Bene-

dict i ja. Trzeci pozostał w Stanach Zjednoczonych i jest teraz w opactwie Clear Creek.

Przybyliśmy na miejsce i muszę przyznać, że życie tutaj nie jest łatwe. Nie żyjemy w jakimś wyidealizowanym romantycznym ubóstwie, ale realnie często nie wiemy, co przyniesie kolejny dzień i z czego zapłacimy rachunki. Klimat jest dość uciążliwy, cały czas jest mokro i chłodno. Nie była to przeprowadzka do jakiejś krainy szczęśliwości, gdzie wszystko jest doskonałe. Życie tutaj jest dla nas walką i wyzwaniem, ale doświadczamy tego, co św. Benedykt w swojej Regule określa jako *dura et aspera*, czyli wszystko, co jest ciężkie i trudne na drodze do Boga.

„Ch”: *Dołączył Ojciec do duchowej rodziny utworzonej przez matkę Mechtyldę de Bar. Kiedy po raz pierwszy spotkał się Ojciec z tą duchowością?*

o. M.D.K.: Pierwszy raz spotkałem się z tą duchowością, gdy miałem 19 lat. Czytałem *Histoire littéraire du sentiment religieux en France* (Historię literacką uczuć religijnych we Francji) Henriego Brémonda. To duże jedenastotomowe dzieło. Właśnie w jednym z tych tomów pierwszy raz przeczytałem o matce Mechtyldzie. Jej wielka miłość do Najświętszego Sakramentu i utożsamienie się z Ofiarowanym zrobiły na mnie potężne wrażenie.

Duchowość matki Mechtyldy może być przedstawiona na wielu poziomach. Na

pierwszym jest adoracja, która oznacza dla niej padnięcie przed Bogiem na kolana w pełnym ogołoceniu i trwanie przy Nim ze świadomością, że Bóg jest Bogiem. Na drugim chodzi o zadośćuczynienie, które musi wynikać ze smutku z powodu tego, że Bóg, który jest Bogiem, Bóg, który jest miłością, jest odrzucany przez ludzi. Ktoś musi wyjść przed szereg i powiedzieć, że właśnie on będzie kochał za tych, którzy nie kochają, i adorował za tych, którzy nie adorują, w imieniu i zamiast grzeszników.

Dlatego w naszym chórze w kaplicy mamy kolumnę-pręgierz, sznur i świecę. Symbole te oznaczają, że stawiamy się w miejscu tych, którzy powinni zadośćuczynić za publiczne przestępstwo. W XVII wieku i wcześniej publiczny przestępca musiał stanąć na rynku przywiązany do pręgierza i ze świecą w ręku przeprosić ludzi za swoje czyny. Matka Mechtylda uważała, że ktoś musi to robić przed Bogiem. Stanąć w miejscu grzeszników i bluźnierców, w imieniu wszystkich tych, którzy mieszkają w mroku i cieniu śmierci.

Trzecim aspektem jest naśladownictwo Najświętszego Sakramentu. Kiedy patrzymy na Hostię, widzimy Boga, który milczy, Boga, który jest zupełnie ukryty, i Boga, który upokorzył sam siebie, przyjmując postać tego, co jest najzwyklejsze, małego kawałka chleba. Naśladownictwo polega na życiu cichym, ukrytym i pokornym. Zawsze w gotowości do ofiarowania się.

„Ch”: *Czy z tych studiów wynika kontakt z siostrami sakramentkami?*

o. M.D.K.: Klasztor sióstr sakramentek znajduje się w Piedimonte Matese (dawnej Piedimonte d’Alife), miejscowości w Kampanii, z której pochodzą moi włoścacy przodkowie. Odwiedziłem je w 1975 roku w trakcie moich długich i skomplikowanych młodzieńczych poszukiwań, już po pierwszych doświadczeniach monastycznych, ale jeszcze zanim trafiłem do cystersów. Ówczesna przeorysza, bardzo gościnna, święta kobieta, matka Maura pokazała mi swój chór, gdzie zobaczyłem kolumnę-pręgierz, sznur, świecę i figurę Matki Bożej jako ksieni. Ten obraz pozostał w moim sercu, ale nie sądziłem wtedy, że kiedyś sam wrócę do tego w moim życiu.

„Ch”: *Kiedy Ojciec do niego wrócił?*

o. M.D.K.: Moje kolejne spotkanie z matką Mechtyldą nastąpiło wówczas, gdy rozpocząłem realizację nowego powołania do adoracji. Tak jakby Bóg stawiał mi ją na drodze jako nauczycielkę i przewodniczkę po benedyktyńskim życiu adoracji i wynagradzania. Zacząłem czytać o niej coraz więcej i tłumaczyć jej pisma na język angielski.

Dokonałem wielkiego odkrycia. Dowiedziałem się, że na początku ubiegłego wieku na północy Włoch żył mnich benedyktyn Dom Celestino Maria Colombo, opat klasztoru Lendinara należącego do Kongregacji oliwetańskiej. Jako młody mnich

był ojcem duchowym sióstr benedyktynek sakramentek z Ghiffa, córek matki Mechtyldy. Był tam kaznodzieją i rekolekcjonistą. Pomagał im na wiele sposobów. Jednocześnie sam poznał mechtyldiańską duchowość i zapragnął żyć takim życiem jako mnich i kapłan. Uważał, że Kościół potrzebuje mnichów adoratorów, synów Najświętszego Sakramentu. Zanim udało mu się zrealizować swoje wielkie pragnienie, zmarł w roku 1935.

„Ch”: *Czy czujecie się jego spadkobiercami?*

o. M.D.K.: Tak, pozostawił testament i w przeoracie Silverstream przyjęliśmy go i staramy się go zrealizować.

Trzeba pamiętać, że chociaż nie powstała wcześniej gałąź męska zakonu benedyktyńskiego żyjąca duchowością mechtyldiańską, to wielu kapłanów było związanych z klasztorami sióstr sakramentek. Sama matka Mechtylda miała wielu przyjaciół, duchownych i świeckich, którzy byli mężczyznami. Jej bliskim przyjacielem był Jean de Bernières-Louvigny, wielki mistyk z Normandii. Także Henry-Marie Boudon, biograf św. Jana od Krzyża. Było jej bliskich wielu benedyktynów z Kongregacji św. Maura, podobnie jak benedyktynów z lotaryńskiej Kongregacji św. Wanna.

„Ch”: *Jak dziś wyglądają Ojca kontakty z siostrami sakramentkami?*

o. M.D.K.: Zaczęło się od kontaktu z klasztorem benedyktynek sakramentek

w Holandii. Początkowo tamtejsza przeorysza, matka Immakulata, była zdziwiona i nieufna, ale potem, po dłuższej wymianie korespondencji, gdy przekonała się, że rzeczywiście to, co chcemy robić, jest realne, postanowiła nam pomóc. Została naszą wielką przyjaciółką.

„Ch”: *Czy w Silverstream przyjął Ojciec także koncepcję sakramentek, w której ksienią klasztoru jest Matka Boża?*

o. M.D.K.: Tak, to jest dla nas bardzo ważne. Oczywiście jest trochę inaczej niż w przypadku siostr, bo mężczyźni różnią się od kobiet. Mamy inną wrażliwość. Ważne są słowa, jakie wypowiedział na



krzyżu Zbawiciel do św. Jana: *Ecce mater tua*. Oto twoja matka. Św. Jan zabrał Ją do swojego domu. Można powiedzieć, że Matka Boża w Wieczerniku, podczas Pięćdziesiątnicy przewodniczyła Apostołom jako swego rodzaju ksieni, duchowa Matka Apostołów.

Także my uznajemy ten wymiar macierzyństwa Najświętszej Maryi Panny i w naszym klasztorze Matka Boża jest naszą ksienią. Co roku wybieramy Ją na naszą wieczną ksienią w uroczystość Jej Wniebowzięcia – 15 sierpnia. Dlatego w naszym chórze znajduje się wyobrażenie Matki Bożej i najpierw kłękamy przed Najświętszym Sakramentem, a następnie skłaniamy się także przed Nią jako naszą ksienią. Figury Matki Bożej z pastorałem w ręku znajdują się także w refektarzu i w bramie wjazdowej na wewnętrzny dziedziniec klasztoru.

Matka Mechtylda nie chciała, aby jej klasztorzy były opactwami właśnie dlatego, że jedyną ksienią tych klasztorów jest Najświętsza Maryja Panna. Inaczej jest z mężczyznami. Matka Boża pozwoliła dojrzeć św. Janowi do ojcostwa i objęcia apostolskiego ojcostwa w Kościele. Podobnie wcześniej głową Świętej Rodziny był św. Józef. Dlatego w męskim klasztorze będzie czymś zwyczajnym, że ojcem wspólnoty będzie opat i nie odbiera to niczego godności Matki Bożej jako ksieni, bo w rodzinie jest przecież miejsce i na matkę, i na ojca. Rozumiemy jednak, że siostry ujmują ten problem nieco inaczej.

Gdy w naszym klasztorze będzie już ośmiu mnichów po ślubach wieczystych, będziemy mogli zacząć myśleć o kolejnym kroku – uznaniu naszego klasztoru za opactwo. Na razie jesteśmy przeoratem konwentualnym na prawie diecezjalnym.

„Ch”: *Jaka wielkość klasztoru jest w Ojca przekonaniu najlepsza dla Waszej wspólnoty? Powyżej jakiej liczby mnichów należałoby tworzyć nową fundację?*

o. M.D.K.: Gdy patrzymy na średniowiecze, często możemy zobaczyć wielkie opactwa, w których mieszkało stu lub nawet kilkuset mnichów. Jednak w południowych Włoszech św. Benedykt zakładał klasztory wielkości normalnej katolickiej rodziny, liczące od 12 do 18 mnichów, tak aby opat mógł być autentycznym ojcem dla każdego ze swoich synów, a oni sami mogli się odnosić do siebie jak autentyczni bracia. Klasztor tej wielkości nie musi być przedsiębiorstwem, a mnisi nie muszą być zbyt zaangażowani w zarządzanie i finanse. Gdy klasztor jest zbyt duży, łatwo może stać się dodatkiem do przedsiębiorstwa, a taka sytuacja stoi w sprzeczności z wizją św. Benedykta, czyli klasztorem jako rodziną.

Jednocześnie ważne jest, żeby klasztor mógł być wzorem dla rodzin żyjących dzięki łasce sakramentu małżeństwa. Rodzina może zobaczyć w klasztorze podobieństwo między życiem mnichów i swoim życiem.

Kiedy w klasztorze będzie 18 mnichów po ślubach wieczystych, przyjdzie kolej

na fundację. Sześciu będzie mogło odejść w nowe miejsce, a 12 zostanie.

Ciekawe, że gdy św. Teresa reformowała karmelitanki, kładła nacisk na takie małe wspólnoty, nie większe niż 12 siostr. W przypadku karmelitów byłyby to jeszcze mniejsze wspólnoty. Często kojarzy się ten model z reformą Karmelu, ale św. Teresa sięgała do starszej tradycji monastycznej związanej ze św. Benedyktem.

„Ch”: *Obok duchowości mechtyldiańskiej ważnym wyróżnikiem Ojca klasztoru jest tradycyjna liturgia. Kiedy zaczął Ojciec odprawiać Mszę w starszej formie?*

o. M.D.K.: *Motu proprio Summorum Pontificum* było wielkim darem dla całego Kościoła, ponieważ przywróciło szansę na ciągłość tradycji liturgicznej w taki sposób, że ta ciągłość nie jest już czymś dozwolonym na drodze wyjątku, ale normą.

Tradycyjna liturgia, Msza, sakramenty i oficjum monastyczne są w szczególności sposób właściwe dla życia kontemplacyjnego. Stało się to dla mnie bardzo jasne po wydaniu przez Papieża *motu proprio Summorum Pontificum*. Już wcześniej zacząłem odprawiać Mszę świętą *ad orientem*, gdy przez siedem lat byłem kapelanem siostr benedyktynek w Stanach Zjednoczonych. Używałem wtedy jeszcze Mszału Pawła VI, ale wyłącznie Kanonu Rzymskiego, i robiłem wszystko, co było możliwe w granicach rubryk tego Mszału, by trwać w ciągłości.

Było to jednak zbyt mało. Dużo lepsze okazało się używanie tradycyjnych ksiąg liturgicznych w ich integralności. Nie jesteśmy w naszym klasztorze jakimiś szczególnymi wojownikami i w naszym podejściu nie ma wielkiego zacięcia polemicznego, ale jesteśmy przekonani, że wybrany przez nas sposób oddawania czci Bogu w duchu i prawdzie jest najlepszy dla życia kontemplacyjnego.

Nie jesteśmy klasztorzem utworzonym ze względu na liturgię tradycyjną. Powstaliśmy jako klasztor w ciągłości z całą benedyktyńską tradycją, dla której czymś najzupełniej naturalnym jest użycie starszej formy.

„Ch”: *Jak widzi Ojciec wpływ klasztoru na świat zewnętrzny i jego relacje z nim? Jak klasztor powinien wpływać na świeckich oblatów, przyjaciół i sąsiadów?*

o. M.D.K.: Kiedy tylko zamieszkaliśmy w Silverstream, od razu zaczęliśmy bić w dzwon. Nie mamy wprawdzie jeszcze wielkiego dzwonu, który byłoby sły-

chać w całej okolicy, ale mimo to chcieliśmy dać znać sąsiadom, że w klasztorze bije serce, a tym sercem jest oficjum. Regularny puls modlitwy informuje o tym, że toczy się tu życie, ukryte, ale realne.

Od początku zaczęli odwiedzać nas ludzie. Sąsiedzi dziwili się, dlaczego nie pojawiają się w parafii i nie uczymy dzieci religii w szkole. Byli zaciekawieni, czym właściwie się zajmujemy. Po pewnym czasie zrozumieli jednak, że mnisi żyją jednocześnie oddzieleni od wszystkich i zjednoczeni ze wszystkimi. Nasze zjednoczenie jest proporcjonalne do oddzielenia.

Chcemy żyć w klauzurze, w naszej oddzielonej przestrzeni klasztornej i jednocześnie zależy nam na gościnności. To różni nas od zakonów, takich jak dominikanie czy franciszkanie, którzy gotowi są iść do ludzi tam, gdzie mieszkają i pracują, i spotkać się z nimi na ich terenie. Mnisi pozostają ukryci w klasztorze, ale jeśli ktoś zapuka do drzwi, to drzwi się otworzą, a gość zostanie zaproszony do środka.



Bardzo ważni są świeccy oblaci, którzy są członkami szerokiej rodziny klasztornej i przenoszą to, co otrzymują w klasztorze, do swojej rodziny, żyjąc tym i ucząc tego swoje dzieci, na ile jest to możliwe. W ten sposób klasztor staje się dodatkowo wspólnotą rodzin. W dzisiejszych czasach, gdy myślimy o oblatach, nie ograniczamy się do wdów i niezamężnych dojrzałych kobiet, jak było to w przeszłości.

Młodzi ojcowie i matki potrzebują pomocy w swoim powołaniu. Potrzebują duchowego domu i duchowej rodziny. Nie odnajdują tego w parafiach, które są postrzegane jako miejsca, w których można otrzymać sakramenty, ale niestety często nie tworzą wspólnoty, a traktowane są jak punkt usługowy, do którego przychodzi się załatwić tę czy inną sprawę. W parafiach powinno być regularne życie modlitwy, ale z wielu powodów często go nie ma i młode małżeństwa z dziećmi trafiają do nas, do klasztoru.

Nie chodzi mi o krytykę parafii, bo wielu jest tam bohaterskich kapłanów, ale często nie są one w stanie odpowiedzieć na wszystkie potrzeby. Ludzie poszukujący głębszego zanurzenia w modlitewnej i mistycznej tradycji Kościoła trafiają do klasztoru i zostają świeckimi oblatami.

Do rodziny klasztornej należą także oblaci regularni. Są to mężczyźni, którzy z jakiegoś powodu nie mogą złożyć ślubów zakonnych, ale chcą mieszkać w klasztorze w posłuszeństwie opatowi, noszą odróż-

niający się habit i żyją codziennym życiem klasztoru – tak jeśli chodzi o pracę, jak i o modlitwę. Są w rodzinie monastycznej trochę jak adoptowane dzieci, które są przyszywanymi członkami rodziny, ale są tak samo kochane.

„Ch”: *Czego wymaga Ojciec od kandydatów do klasztoru?*

o. M.D.K.: Dawniej, gdy młody człowiek podejrzewał, że może mieć powołanie, szedł do swojego proboszcza, a ten pytał go, czy myśli, że miałby być księdzem diecezjalnym jak on, czy może misjonarzem, a może mnichem. Na podstawie tej odpowiedzi mógł wskazać, do kogo napisać i gdzie pojechać. W dzisiejszych czasach młody mężczyzna, który podejrzewa, że może mieć powołanie, zwykle zaczyna poszukiwania w Internecie. Kiedy taki potencjalny kandydat wpisze w wyszukiwarce hasła: „benedyktyni, kontemplacja, tradycja, adoracja Najświętszego Sakramentu”, trafi na naszą stronę.

Typowy, dobrze zapowiadający się kandydat jest w wieku między 21 a 35 lat. Powinien mieć za sobą studia wyższe lub być biegły w jakimś zawodzie lub rzemiośle. Chciałbym, żeby młodzi ludzie przychodzący do klasztoru mogli wykazać się jakimiś umiejętnościami lub przygotowaniem akademickim, które umożliwiłoby łatwe wejście w studia filozoficzne i teologiczne. Pierwsi zwykle byliby kandydatami na braci konwersów, drudzy na ojców chórowych.

Bardzo ważne, aby kandydat do klasztoru nie przychodził do nas dlatego, że jest bezrobotny, nie wie, co zrobić ze swoim życiem, ucieka od kontaktu z innymi ludźmi albo miał złe doświadczenie z dziewczyną. Kandydat musi udowodnić, że posiada zdolność, aby dać sobie radę z życiem w świecie, w normalnym życiu świeckim. Jeśli nie potrafi żyć w świecie, nie może tego świata opuścić. Nie może to być ktoś, kto ucieka od odpowiedzialności i chce przejść spod opieki rodziców prosto pod opiekę klasztoru.

Niezależnie od tego, czy ktoś przychodzi do nas jako kandydat na brata konwersa, czy ojca chórowego, musi być gotów na to, aby dorosnąć do duchowego ojcostwa. Mężczyzna, który nie jest jakiegóż rodzaju ojcem, nie jest zupełny. Każdy mężczyzna jest powołany do ojcostwa. Koncepcja, że składając ślub czystości, porzuca się dojrzenie do ojcostwa, prowadzi do zatrzymania rozwoju duchowego na poziomie młodzieńczym. Jest w tym coś z teologii ciała w jej najbardziej ortodoksyjnym rozumieniu. Mężczyzna patrząc na swoje ciało ukształtowane przez Pana Boga, widzi, że jest stworzony do płodności i przekazywania życia, właśnie do ojcostwa. Nie jest tak, że Bóg powołując mężczyznę do życia w klasztorze, pozbawia go szansy na ojcostwo, że działa wbrew temu, co stworzył. Jest inaczej. Mężczyzna wstępując do klasztoru, podejmuje wezwanie do ojcostwa, ale na innym poziomie.

„Ch”: *Mówi Ojciec o powołaniach braci konwersów i ojców chórowych. Czy ten podział nie wyszedł z użycia w powszechnej praktyce współczesnych zakonów?*

o. M.D.K.: Żyjemy w czasach, w których słowem kluczem jest różnorodność. W Kościele zwraca się szczególną uwagę na różnorodność darów, umiejętności i wrażliwości. Tymczasem w klasztorach od 40 lat dominuje trend, aby wciskać wszystkich do tej samej formy.

Jestem przekonany, że posiadanie trzech różnych grup w klasztorze, które stanowią ojcowie chórowi, bracia konwersi i oblaci regularni, jest bardzo zdrowe. Pozwala na wzięcie pod uwagę różnic talentów i możliwości poszczególnych ludzi i tworzy dobrą różnorodność. Zdrowa różnorodność skutkuje silniejszą jednością.

Gdy siostry sakramentki z różnych stron Europy dowiedziały się, że odprawiamy Mszę w starszej formie i mamy braci konwersów, od razu zarzuciły nam, że występujemy przeciw Soborowi Watykańskiemu II i idziemy w kierunku przeszłości, odwracając się od teraźniejszości. Tymczasem przecież nie żyjemy już w roku 1968. Pewnych rzeczy przez ten czas się nauczyliśmy – o ludziach, liturgii, klasztorach i powołaniach.

„Ch”: *Do klasztoru Silverstream trafia wielu Polaków. Jakie są relacje między nimi a klasztorem?*

o. M.D.K.: Nasz kontakt z Polakami rozpoczął się od jednego człowieka, który natrafił na nas w Internecie i przybył pewnej niedzieli. Wkrótce zaczął bywać u nas coraz częściej. Dzięki niemu zaczęli przybywać do nas kolejni młodzi Polacy, dwudziesto- i trzydziestolatkowie. Mam przekonanie, że musimy na to odpowiedzieć w jakiś sposób. Dać im więcej, jeśli chodzi o kierownictwo duchowe czy wprowadzenie do liturgii. Żeby zrobić to

właściwie, potrzebujemy benedyktyna z Polski, który mógłby spędzić kilka miesięcy w naszym klasztorze, odpowiadając na potrzeby odwiedzających nas Polaków.

Mam nadzieję, że nasz klasztor może pomóc Polakom w Irlandii w wytrwaniu w Kościele, pogłębieniu wiary katolickiej i uczynieniu jej bardziej owocną. ■

Rozmawiał Filip Łajszczak



*W bieżącym roku przypada 400-lecie urodzin założycielki benedyktynek sakramentek, Matki Mechtyldy od Najświętszego Sakramentu. Jest on obchodzony jako Rok Mechtyldiański. Mniszki prowadzą stronę poświęconą Matce Mechtyldzie: www.mechtylda.info. O benedyktynkach sakramentkach pisała w „Christianitas” Agnieszka Kula w artykule *Niewidzialne strumienie łask* w numerze 6/2000.

Dziesięć powodów, dla których jubileuszowy Rok Mechtyldiański jest ważny dla całego Kościoła*

1. Katarzyna Mechtylda de Bar, urodzona 31 grudnia 1614 roku w Saint-Dié w Lotaryngii (Francja), zasługuje na to, by poznała ją cała wspólnota Kościoła. Odegrała rolę równie ważną jak św. Gertruda Wielka, św. Teresa z Avila czy św. Maria od Wcielenia. Życie i misja matki Mechtyldy są ważnym i wyrazistym przykładem roli kobiet w Kościele we wszystkich epokach, w tym także i dziś. Pisma matki Mechtyldy, zakorzenione w Piśmie Świętym i tradycji liturgicznej, podstawie jej benedyktyńskiej formacji, ukazują nam kobietę o głębokiej ludzkiej i duchowej mądrości.
2. Matka Mechtylda ukazuje nam łaskę chrztu jako przygotowanie do rzeczywistego udziału w Ofierze Chrystusa, który dokonuje się poprzez przyjmowanie chwalebnych tajemnic Jego Ciała i Krwi w Komunii świętej. Podkreślając ten fakt, matka Mechtylda rozświetla blaskiem swojego eucharystycznego doświadczenia powszechne wezwanie do świętości sformułowane w piątym rozdziale Konstytucji dogmatycznej o Kościele, *Lumen Gentium*, uchwalonej na Soborze Watykańskim II.
3. Droga powołania Katarzyny Mechtyldy de Bar była naznaczona nieprzewidywanymi zmianami, cierpieniem ciała i duszy, koniecznością podejmowania kolejnych nowych prób, nieustanną tułaczką, ale też niezachwianą pewnością, że *potrzeba tylko jednego*. Tym samym matka Mechtylda daje wskazówki młodym ludziom, którzy w dzisiejszych czasach z ogromną odwagą szukają swojego powołania w morzu niepewności, niestabilności i nagłych zmian.
4. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat ludzie masowo tracili wiarę w rzeczywistą obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie i we Mszę świętą w sposób widoczny, choć bezkrwawy uobecniającą tajemnicę Chrystusa, Kapłana i Ofiary, który sam siebie ofiarowuje Ojcu. Przejrzysta i płomienna nauka eucharystyczna matki Mechtyldy jest głosem sprzeciwu wobec wszelkich prób pozbawiania Mszy jej z istoty ofiarnego charakteru zdefiniowanego na Soborze Trydenckim.
5. Studiując życie i pisma Katarzyny Mechtyldy de Bar, odkrywamy cenne *locus theologicus*, dzięki któremu można połączyć

niektóre kluczowe nauki Soboru Trydenckiego z autentycznym magisterium Soboru Watykańskiego II w taki sposób, że osiąga się owocną syntezę ciągłości liturgicznej, teologii eucharystycznej i doświadczenia mistycznego.

6. Matka Mechtylda pokazuje nam, że życie benedyktyńskie, wypełnione żywym kultem eucharystycznym, może odmłodzić monastycyzm przede wszystkim tam, gdzie popadł w nadmierny instytucjonalizm i apatię. Oddanie matki Mechtyldy nieustannej adoracji Najświętszego Sakramentu jest odpowiedzią na pragnienie współczesnego człowieka, szczególnie młodego, by doświadczyć osobistego, przeobrażającego spotkania z Bogiem.
 7. Bliska i serdeczna relacja Katarzyny Mechtyldy de Bar z Najświętszą Maryją Panną jest wzorem życiodajnej pobożności maryjnej. Przyznając Maryi rolę ksieni swoich klasztorów, matka Mechtylda wskazuje, że każda społeczność i rodzina oddana pod królewską opiekę Maryi i poświęcona jej matczynemu sercu może stać się wiecznikiem, w którym ciągle zstępuje Duch Święty, szkołą apostołów i ewangelistów oraz owocnie przekazywać życie kolejnym pokoleniom.
 8. Oddanie matki Mechtyldy świętej liturgii, jej staranie, by Święte Tajemnice były sprawowane godnie, z głębokim szacunkiem, pokorą i wyczuciem piękna, jest zaproszeniem, by odkryć na nowo to, co minione pokolenia uznawały za wielkie i święte. Jednocześnie jest wezwaniem, by w duchu miłości bliźniego docenić mozolne prace nad rozwojem podejmowane w duchu ciągłości i bez zrywania z otrzymanym dziedzictwem.
 9. Katarzyna Mechtylda de Bar żyła w czasach naznaczonych przesądami, magią, flirtem z siłami ciemności, bluźnierstwem i profanacją. Niedawne niepokojące wydarzenia dotyczące Kościoła na każdym kontynencie dowodzą, że współczesne społeczeństwo globalne ma więcej wspólnego z rozdartą wojną siedemnastowieczną Francją, niż można by z pozoru sądzić. Matka Mechtylda z miłością poświęciła się za sprawców tak potwornych zbrodni, czyniąc z siebie ofiarę wynagradzającą, czyli oddaną Bogu nieodwołalnie, by zadośćuczynić za brak miłości i czci wobec Niego ze strony tych, którzy Go nienawidzą i wzbudzają Jego święty gniew. Modliła się jednocześnie, by Bóg okazał im miłosierdzie i zesłał łaskę skruchy.
-

10. Katarzyna Mechtylda de Bar jest pewnego rodzaju znakiem duchowego macierzyństwa potrzebnego współczesnemu Kościołowi, nie tylko we wspólnotach klasztornych i zakonnych, ale w każdym miejscu, w którym poprzez Eucharystię Kościół rodzi się lub odradza. *Ecclesia de Eucharistia*. Matka Mechtylda pokazuje nam, że ołtarz sam w sobie, jako miejsce przeznaczone do składania Boskiej Ofiary, staje się źródłem duchowej płodności w życiu każdej kobiety, która przyłgnąwszy do Najświętszej Ofiary, bierze udział w ofercie Chrystusa i razem z Nim w Duchu Świętym wielbi Ojca.

Dom Mark Daniel Kirby OSB
